

w geometryczne wzory skrzydłach. Nie miała maski, okrywała ją za to suknia z trenem barwy księżycy. Głowę zdobiła surowa korona: diadem z metalowych płomieni.

– *Biath ip marranthe!!!* Cześć i chwała Jej Ognistości!!! – ryknęły Dragonus Cracovus, a Zempfer Draregiss*rapthiss Rezz pozdrowiła wszystkich uniesioną dłonią.

– Wiwat *Craculum* Odzyskanie!!! – zakrzyknęła głosem potężnym nawet jak na smoka.

– Wiwat!!! – zagrzmiało w odpowiedzi.

– Wiwat... – szepnęła Wanda.

I zemdląa.



Vebula Pradragorozuh drgnęła. Wzdłuż jej kręgosłupa spłynął dreszcz, który zdawał się elektryzować ciało, razić wszystkie komórki mikroskopijną igłą. Z każdą sekundą ból przybierał na sile, robił się naprawdę nieznośny. Młoda smoczyca syknęła, zaciskając zęby.

Odkąd straciła skrzydło, cierpienie towarzyszyło jej jak cień; pełzło wszędzie, gdzie poszła i nie dawało najmniejszej chwili wytchnienia. Prócz metalowej protezy dostała baterię leków przeciwbólowych i nakreśloną drukowanymi literami dyspozycję, jak często zażywać tabletki, ale szybko zauważyła, że nie przynoszą efektów. Oswoiła więc demona bólu, przywykła do jego obecności, a nawet przygarnęła, jakby był sierotą, porzuconym dzieckiem. Dzięki temu stała się mocniejsza. Zyskała zarówno w oczach innych, jak i swoich, choć to ostatnie należało do rzeczy niezmiernie trudnych.

Teraz doświadczenie, które miała – umiejętność życia z fizyczną niemocą – przydało się niczym wędką na pustyni. Paraliżujący ból nie pochodził z ciała. Był inny, nie znała go wcześniej. Pulsował w głowie i zmuszał myśli, by zawracały ku tamtej scenie. Ku wypełnionej trupami kuli, gdzie spoczęła Varvara, gdzie pochłonął ją ogień. Na zawsze.

Vebula przełknęła ślinę. Czują zimno. Nienawidziła chłodu, mrozu i śniegu, a jej płaszcz stanowił chyba najgrubszą kapotę w *Craculum*, szczelnie zamykając właścicielkę w miękkim kokonie. Nie raz i nie dwa odnosiła wrażenie, że bez niego rozpadnie się na kawałki. W tej chwili była przekonana, że rozpadnie się nawet w nim, że już się rozpada.

Amron, jej ostrożny kierowca, odchrząknął.

– *Lora, follerr vapthinev* – orzekł, patrząc w nocne niebo. – Pani, musimy lecieć.

Smoczyca, gwałtownie wyrwana z rozmyślań, potrząsnęła głową.

– *Nuueb* – odparła. – Wiem.

Kiedy wsiadła do Podniebnego Pojazdu, Amron poprawił swój kaszkiet, po czym z lubością wcisnął przycisk na panelu sterowania. Silniki warknęły, kryształowa podłoga zadrżała.

– *Volh^vsthulparr* – usłyszeli nagle. – Stójcie.

Amron prychnął.

– *Nu, nu, nu...* – wymamrotał z zażenowaniem. – Nie, nie, nie...

Nie godzi się przeszkadzać w starcie, nie można...

Drzwi pojazdu otworzył Valsyhus Ptherodracon. Widząc go, Vebula zmarszczyła czoło. Nie pamiętała, by miał odbyć audiencję u *Lonn^vVlamicci* i by ta audiencja zbiegała się z jej własną. Towarzystwo Pierwszego Doradcy nie było jej na rękę. Nie zmienił tego akt miłosierdzia, którym Valsyhus wykazał się w Lesie Wolskim. Preferencje Vebuli Pradragorozuh nie należały jednak do rzeczy, które szary jaszczur brałby pod uwagę.

– *Vorrzvi nu^vve^vres~laghol hov[^]thum* – obwieścił chłodno. – Sama nie trafisz na miejsce.

Uniosła brwi.

– *Pracc seheve?* Niby dlaczego?

Valsyhus poprawił cylinder.

– *Lonn^vVlamicci* nie rezyduje tam, gdzie przypuszczasz.

W *hon[^]allal^ssof* zapanowała cisza. Vebula gniotła poły płaszcz.

– Ponadto – dodał zniechęca Pierwszy Doradca – chciałem ci coś przekazać.

Sięgnął do kieszeni, po czym wyjął niewielkie, ubrudzone popiołem zawiniątko.

– Nasz ogień pali wszystko. Ale to nie spłonęło. Najwyraźniej *Than*therr*lora* chciała inaczej.

Smoczyca zamrugnęła. Ostrożnie odwinęła skrawek materiału.

– Czy to... – głos z trudem wydobywał się z jej krtani.

Valsyhus skinął głową.

– *Mriu'cc zol nu'crisfivv*. Oczywiście cię nie mylą. To *nah'*kinmorr*, dobry kamień. *Varvara Pradragorozuh*, jak chyba każdy, nosiła go na szyi w charakterze amuletu. W normalnych okolicznościach włożono by go w dziurę po jej sercu, aby zaprowadził ją w zaświaty.

Vebula drżała.

– Ale to nie są normalne okoliczności – wykrztusiła wreszcie. – *A nah'*kinmorr* nie spłonął...

Starła się opanować emocje, które zaczęły szarpać nią niczym szmacianą lalką. Miała w dłoni coś, z czym jej ukochana siostra nie rozstawała się nigdy. Przenigdy. Powierzchnia dobrego kamienia była szorstka, naturalna. Ukruszono go na stoku *Lar'*malla*, Mlecznego Brzucha – dragozoiskiej góry, której turnie połyskiwały barwą jaśniejszą od śniegu. Na przedniej stronie amuletu wymalowano maleńki, czerwony znak. *Vlam'''uniss*, Pióro Ognia, wedle smoczej mitologii, symbol odwagi.

Zacisnęła szpony. Wydało jej się, że *Varvara* przemawia do niej zza zasłony czasu, przestrzeni. Zza zasłony śmierci.

„*Va^vveb va^vilcceb evenev munurra*” – pomyślała. – „Będę mieć odwagę.”

Włożyła przytroczony do dobrego kamienia łańcuszek i ukryła amulet pod tuniką, obok bijącego miarowo serca. Odetchnęła kilkakrotnie. Ból w głowie pozostał.

*Hon^allal*ssof* sunął wśród chmur. Valsyhus przeszedł do kabiny kierowcy i wskazał, gdzie powinni lecieć. Wkrótce zanurkowali w przestworzach i zbliżyli się ku ziemi. Wylądowali u stóp Wzgórza Wawelskiego, co bardzo zdziwiło Vebulę.

– *Sha Drago*rahlath...?* – zapytała cicho. – To Smocza Jama...?

Pytanie było, widać, tak oczywiste, że Pierwszy Doradca nie raczył udzielić odpowiedzi. Wysiedli u wejścia do wapiennej jaskini.

Usunięto dowody ludzkiego żalu, zniknęły świece i dziecięce laurki. Gardziel grotty pieczętowały potężne wrota, a ich nowa powierzchnia nie pasowała do omszałej skały Wzgórza. Obok stali smolistoczarni strażnicy. Vebula wiedziała, że są uzbrojeni bardziej, niż wskazywałby pierwszy rzut oka. *Lluhtha”Lonn*Vlamicci*, Gwardia Jej Ognistości, nie mogła być bezbronna. Warunek wstąpienia do formacji stanowiły nie tylko potężne mięśnie oraz wymóg zabarwienia łuski czernią. Od kandydata oczekiwano również talentu w obsłudze broni. A tę *Dragonus Cracovus* posiadały wyjątkowo wyrafinowaną...

Wolała nie wnikać w szczegóły.

– Myślałam, że Zempfer zamierza rezydować na Wawelu – zwróciła się do Valsyhusa.

– Wierz mi – odparł – próbowałem wszelkiej perswazji, ale królowa jest upartą sentymentalistką.

– Coś o tym wiem.

– W Starowieczu – dodał Pierwszy Doradca, który najwyraźniej lubił powoływać się na religię i historię – *Drago*rahlath* pełniła rolę apartamentu Nilermara. *Va”vel*, Wzgórze Władzy, zbudowano w oblepiającym ją pagórku. Ingmar *Draregiss*rapthiss Rezz*, młodszy brat króla, a także pra... pra.. pra... pradziad Jej Ognistości, jeszcze na łożu śmierci zachwalał podwładnym majestat tego miejsca.

– Najwyraźniej Zempfer dała wiarę pustym pogłoskom – szepnęła Vebula. – Cały majestat zniknął chyba wieki temu.

– Radzę ci, byś nie raczyła *Lonn*Vlamicci* tego typu uwagami – Valsyhus wyprostował się, mierząc ją zimnym spojrzeniem.

Miała jednak rację. Smocza Jama, jak ochrzcili jaskinię ludzie, nie była teraz niczym więcej niż systemem kilku wapiennych komór. Nie istniał także wydrążony w skale *Va'vel*, który służył niegdyś za pałac władcy *Craculum*. Gorgosław wzniósł za to zamczysko na szczycie pagórka, które we właściwej sobie zawiści nazwał ludzkim „Wawel”. Na przestrzeni setek lat rezydujący w Krakowie monarchowie zmienili okazały przybytek w fortecę, którą miasto pyszniło się obecnie jako znamienitą atrakcją.

Mimo to Zempfer *Draregiss*rapthiss Rezz*, Monarchini *Drago*zoii* i Królowa Krakowa, uparła się mieszkać nie tam, a w Smoczej Jamie.

– *Emanev hongee!* Otworzyć wrota! – rozkazał *Valsyhus*, zaś strażnicy szybko wykonali polecenie.

Kiedy *Vebula* weszła do środka, w jej nozdrza uderzyła duchota i ostry zapach siarki. Smród kłębił się pod skalistym sklepieniem tak gęsto, że mogłby przybrać namacalne kształty. W rzeczywistości nie było nic – żadnych elementów, które zwykły obrazować dostojęstwo władcy. Tylko odór, cisza i ciemność, bo jaskini nie zaopatrzone w źródło światła. *Zempfer* słyszała z dziwnych upodobań.

Po krótkim marszu znaleźli się w kolejnej komorze Smoczej Jamy. Pod względem oświetlenia sytuacja uległa niejakiej poprawie: pomieszczenie rozjaśniały świece. Wyrastając z podłoża jak grzyby o ognistych kapeluszach, kopały dymem, który raczej nie wpływał na polepszenie jakości powietrza. Oprócz nich w grocie stało wzdęte pierzynami łóżko, a obok brzęczała zrobiona z błękitnego kryształu machina z niezliczonymi przyciskami i dużym ekranem. Wyposażono ją w rurki, które biegły wśród piernat niczym blade węże. Sięgały otyłej smoczycy o spoczonej, zielonej łusce i tatuowanych, zmarniałych skrzydłach.

Była to Jej Ognistość we własnej osobie. Wielki Przyłot sprawił, że wszyscy, w tym *Vebula*, zapomnieli, w jak strasznym znajdowała się stanie. Choroba postępowała.

Królowa obryzgała ścianę, pełną bąbelków śliny.

– *Ip shen?! –* ryknęła, widząc Pierwszego Doradcę. – I co?! Czy mój sobowtór spisuje się wiarygodnie?! Każcie ją usmażyć, jeśli nie!

– Zaiste nie ma sobie równych, pani – zapewnił spokojnie Valsyhus.

Z paszczy Zempfer trysnęła jeszcze okazalsza fontanna lepkiego płynu.

– Proszę, proszę... – *Lonn*Vlamicci* charknęła ochryple. – Kogóż moje ślepie widzą?

Jej zakrzywiony szpon wskazał pierś poblądłej Vebuli.

– Sztukowany dzieciak Pradragorozuhów! – krzywiła się dalej królowa. – Krggh, krggh! – zakasłała lub zaśmiała się szyderczo, nikt nie mógł być pewien. – Odkąd Varvara ziemię gryzie, brakowało mi kogoś z waszego rodu...

Na wspomnienie siostry młoda smoczyca zacisnęła szczęki.

– Umrzyk – zarechotała histerycznie Zempfer – byłby szybciej stąd do *Arrva Yrrtat* i z powrotem, ty... Ty pajacowata niedojdo! – dokończyła, cedząc słowa.

Potem zaniósła się huraganowym kichnięciem. Vebula zmrużyła oczy. Otworzyła usta.

– W obecnym stanie z Zempfer nie warto dyskutować – szepnął prędko Pierwszy Doradca.

– Nie zamierzałam dyskutować – odparła bezgłośnie. – Choroba objawia się coraz dziwniej. *Lonn*Vlamicci* jest, delikatnie mówiąc, bardzo... zgryźliwa.

– Oby na tym się skończyło – Valsyhus obserwował krążącą wokół łoża służbę.

– Cassmino, napełnij strzykawkę. Duhni! Wyciąg z *dra*sei*, skoczki smoczej, byle szybko! Szybciej, szybciej, jeśli chcesz tu pracować, to pospiesz się! Na zęby *Than*therr*lor*a, ruszasz się gorzej niż ma prababka... Siarka, niech ktoś poda mi siarkę! Więcej tego, więcej! – komenderował Carbben Arhagon.

*Hummad*ganass*, Nadworny Medyk, bo tak zgodnie z tradycją należało tytułować osobistego lekarza *Zempher Draregiss*rapthiss Rezz*, był nieprzeciętnie wysokim, bordowym smokiem o zwykle skrzywionych ustach. W *Rezze*nathrum*, Królewskiej Lecznicy, gdzie na co dzień pracował, budził trwożliwy szacunek. Gdy siedł korytarzem, *Dragonus Cracovus*, które mogły odsunąć się na bok, odsuwały się i to natychmiast. Te, które z różnych przyczyn – przykładowo złamanych kończyn – nie zdołały w porę zniknąć, *Carbben* obdarzał pogardliwym spojrzeniem. Nikt nie wiedział dlaczego. „Czyżby drażniły go nawet kaleki?” – zastanawiano się już nie raz i nie dwa. Jedno było jednak pewne: w sztuce leczenia, i to leczenia wszystkiego, senior rodu *Arhagonów* nie miał sobie równych. Przymykanono więc oczy, kiedy od czasu do czasu doprowadzał pracowników do płaczu albo ataku apopleksji. Może właśnie dzięki temu jego ręka – osławiona ręka Nadwornego Medyka – nabrała swej powszechnie znanej wprawy, a *Carbben* operował z niebywałą precyzją.

„Wampir” – mawiała o nim *Varvara*.

Rody Arhagonów i *Pradragorozuhów* nienawidziły się z dawien dawna. Początkowo chodziło o szlacheckie niesnaski, ale z biegiem czasu spór zaognił się do tego stopnia, że pewien *Arhagon*, będąc święcie przekonany o słuszności swojej sprawy, postanowił podpalić należący do *Pradragorozuhów* pałac w *Drago*zoi*. Pradziadowie *Vebuli* odpowiedzieli pięknym za nadobne lub, jak mawiają smoki *vla-me^uv^vlame*, ogniem za ogień, w dosłownym przysłowia znaczeniu. Ów wstydlivy incydent należał do zamierzchłej przeszłości, lecz niechęć, która go wywołała, przetrwała i nie zmieniła się na przestrzeni lat.

Vebuli nie zdziwiło, gdy *Carbben*, podobny do przodków kubek w kubek, przeszył ją jadowitym wzrokiem. *Cassmina Vessandra Lecrr*, szczupła medyczka o fioletowych oczach i łusce koloru kwiatów wiśni, zrobiła podobnie. Ale w tym przypadku – *Vebula* wiedziała to aż za dobrze – powód wykraczał poza kłótnie pradziadów. Jeśli na jej miejscu stałaby *Varvara*, świetnie zbudowana i dumna, nie pozwoliłaby na

zniewagę, czy to ze strony Arhagona, czy Lecrr. Młodsza córka Pradragorozuhów była inna. Odwróciła głowę.

– NIE NACIERAĆ!!! NIE CHCĘ!!! ZABIERAJ SZPONY!!! – Zempher zachłysnęła się ze złości i skupiła uwagę wszystkich zebranych.

Gdy wypłuła dostatecznie dużo śliny, znów zwróciła się do Vebuli; zlustrowała ją od stóp do głów.

– Pamiętam – zabulgotała, zgrzytnęła zębami – jak leżałaś w *Rezze*nathrum*, mały, pokrzywiony prawie-trup... Twoja matka wyła niby stado wilków, wierz mi. A twoja siostra, o zgrozo, medyk nie mógł jej odczepić od łóżka... Złapała się go mocno, bardzo mocno, sprytna gadzinka. Pamiętam, że trzymała cię za rękę, właściwie za to, co z twojej ręki zostało... I chlipała... O, jak okropnie chlipała! Już miałam kazać ją usmażyć. Szlacheckie bachory nie powinny beczeć... Ale cóż, wszyscy wiecie, że miłosierdzie to moje drugie imię, więc zdecydowałam nie karać jej... Do dziś pamiętam te piski! „Moja biedna siostrzyczka, moja biedna siostrzyczka!” I tak w kółko. Obrzydliwie ckliwa ta miłość między rodzeństwem, nie sądzisz, połamaniu?

– Nie sądzę – Vebula zachowała kamienny wyraz twarzy, choć w środku gotowała się niczym kocioł zupy.

Ptasi szpon królowej uniósł się ostrzegawczo.

– ZAUFAM CI! – sapnęła. – Wykonałaś rozkaz?

Smoczyca skinęła głową, po czym wyjęła spod płaszcza owinięty w skórę niedźwiedzia przedmiot. Najwyraźniej zrobiła to zbyt wolno.

– Nie wiem, dlaczego wysłałam do *Arrva Yrrtat* właśnie ciebie – wychrypiała zniecierpliwiona Zempher. – Ty ślimacząca się kaleko... Nadworna Alchemik, dobre, zaiste dobre! – prychnęła, krztusząc się rechotem i kaszlem.

„No tak” – pomyślała z goryczą Vebula. – „Rzeczywiście, żadna ze mnie alchemik, a na pewno nie nadworna...”

Ostatnią osobą, która piastowała urząd *Hummad*pempeth*, czyli Nadwornego Alchemika, była Varvara. Tuż przed śmiercią zasugerowała, że funkcję powinna odziedziczyć po niej młodsza, ledwo pełnoletnia

siostra. O dziwo, wolę tragicznie zmarłej uszanowano, co na dworze Zempfer Draregiss*rapthiss Rezz należało zaliczyć w poczet ewenementów. I tak Vebula Pradragorozuh, córka Alumelli i Remena, została Nadworną Alchemik. Ku własnej rozpaczy i zgodnie z kwalifikacjami, studiowała bowiem Alchemię – dziwaczny splot nauk, głównie takich, które miały do czynienia z pierwiastkami i substancjami – na znanym w świecie smoków *Sovan*arlon*, Skrzydlatym Uniwersytecie. Wezwana do służby, musiała tymczasowo porzucić naukę, co potęgowało jej przygnębienie. W kręgach najbliższych współpracowników królowej czuła się nieswojo, a znacznie starsze jaszczury zdawały się nie wierzyć w jej umiejętności. Przywiązanie do tradycji wzięło jednak górę. Nadworny Alchemik, z racji prestiżu stanowiska, musiał być odpowiednio urodzony. Jako że wśród szlacheckiego potomstwa nie było żadnych studentów ani nawet miłośników alchemii, córka Pradragorozuhów pozostawała jedynym, rozsądnym wyborem. Szybko dowiodła, że – mimo przerażenia sytuacją – potrafi stanąć na wysokości zadania. Gwarant jej stanowiska spoczywał wśród piernat łoża.

Wkrótce skóra niedźwiedzia została zdarta, a oczom zebranych ukazał się masywny kryształ. Była to bryła siarki. Na gładkiej powierzchni umieszczono ledwo dostrzegalną inskrypcję. Jej Ognistość musnęła słowa łączącym wzrokiem.

– *UM^SELVEGETHAH!* – ryk, jaki wydała, wprawił Smoczą Jamę w drżenie. – **DOKONAŁO SIĘ!**

Później przewierciła Valsyhusa ognistym spojrzeniem.

– Wiesz, co czynić. **ROZWAL TO!** – rozkazała. – Rozwal... A ten leniwy Ruben Trelliss niech wreszcie zajmie się resztą! **JEST W KOŃCU MOIM DRUGIM DORADCĄ!** To padalca zobowiązuje, czyż nie?!